



Jakub Duszak "Obietnica"

Cintryjka



Ilustracja: Sebastian Miłosek

1.

Na nogach utrzymywała go już tylko żądza zemsty.

W stylizowanym hełmie wyglądał jak pół człowiek, pół kraken, szykujący się do zadania ostatecznego ciosu drugiemu potworowi, na którego polował. Ciężkim karabinem mierzył w jego plecy, przez cały czas zmrożony świadomością, że jeszcze niedawno on sam był celem. W cieniu drzew wysoka na dwa i pół metra postać ofiary rozbłyskiwała co chwilę bladym światłem elektryzującej siatki. Niesamowita technologia zawiodła. Kłusownik został pozbawiony dynamitu.

Wydał z siebie charkoczący dźwięk, po czym runął na poszycie.

Kraken opuścił lekko lufę. W jego głowie pojawiła się nedorzeczna myśl, że sam chętnie położyłby się obok, jednak wiedział – to jeszcze nie koniec. Postąpił ostrożnie kilka kroków, unosząc na powrót broń. Stał w bezpiecznej odległości – przynajmniej miał taką nadzieję – i dokładnie przymierzył. Miał ochotę skończyć sprawę, ale zamiast tego spróbował nawiązać łączność:

– Tu zero jeden. – Po pięciu wydających się wiecznością sekundach wewnątrz hełmu rozbrzmiał krystalicznie czysty głos:

– Słyszemy cię, zero jeden. – Dało się wyczuć zaskoczenie, wymieszane z niepewnością i nadzieją.

– Obcy uziemiony. Prawdopodobnie żywy. Co robić?

– Czekać. Wysyłamy helikoptery.

– Tak jest. – Mimo głupich nadziei nie miał co liczyć na inne rozkazy.

Bał się.

- Zero jeden. Zdaj stan kompanii.

- Wszyscy nie żyją - odparł zimno. - Ruszcie się zanim go rozpiardolę.

- Pułkowniku Smart - tym razem odpowiedział sam generał Drayfuss - macie wytrzymać. Bądźcie żołnierzem, posiłki już lecą.

Wtem Obcy obrócił się gwałtownie, wycelował w krakena prawą rękę, zakończoną czymś na kształt puszek. Pułkownik nie dał się zaskoczyć. Wystrzelił. Huk, błysk, świst. Trafił na wysokości łokcia. Oderwana kończyzna poszybowała w zarośla. Obcy wydał z siebie wysoki, piszczący dźwięk. Smart miał wrażenie, że krwawią mu uszy. Cztery szybkie kroki. Wycelował. Strzelił. Trafił w miejsce, w którym u człowieka znajduje się wątroba. Kolejny przejmujący pisk.

- Smart! Smart! - darł się w słuchawce Drayfuss. - Co się dzieje?!

Kraken wyłączył komunikator.

Załatwiłem go, pomyślał.

Stwór leżał bez ruchu, ale żołnierz nie opuszczał karabinu. Dyszał ciężko, mierząc w głowę celu.

Gdy obcy wydał z siebie dźwięk - tym razem podobny do radiowego szumu - pułkownik napiął mięśnie jeszcze bardziej, ale nie oddał strzału. Szum przeszedł w zgrzyt, zgrzyt w coś, co mogło być mową, jakimś językiem, a następnie dało się usłyszeć zrozumiale:

- Nie. - Głos był wysoki, dziecięcy. - Nie. - Mała, trupioblada głowa poruszyła się. Obcy nie posiadał białek, oczy były dwoma czarnymi jak śmierć, nic niewyrażającymi punktami. Przez twarz, od skroni, przez oczodół, aż do miejsca, gdzie powinien być nos ciągnęła się szrama. Smart zastanawiał się, dlaczego oko wciąż jest na swoim miejscu. - Zakończyliście ich. A teraz zakończysz mnie. Ty, larwo. Nie waż się. Wsobny pomocie. Nie waż się. - Palec drżał na spuście. - Nie waż się.

Z oddali dobiegł cichy, narastający hurkot silników, powoli wydobywając pułkownika z transu.

2.

Sebo Smart siedział na pokładzie helikoptera, obojętnie patrząc w dół, a wiatr studził pot na jego pokrytej czarnym zarostem twarzy. Kilkaset metrów niżej krajobraz przesunął się miarowo. Pościg odcisnęła swoje piętno na wielobarwnej grzywie lasu, znacząc ją gdzieniedzie wypalonymi plackami.

Niespodziewanie maszyną zabujało i Smart stracił równowagę. Poczuł dłonie zaciskające się na jego lewej ręce.

- Ostrożnie, pułkowniku! - Młody żołnierz z Klanu Chmur patrzył na niego jak syn zamartwiający się o będącego na krawędzi ojca. Takie przynajmniej skojarzenie przyszło Smartowi do głowy.

Tak. Był na krawędzi. Balansował na niej już od dłuższego czasu, praktycznie od początku tej bestialskiej inwazji. W pierwszych dniach stracił Suze wraz z rosnącym w niej dzieckiem, które już nauczył się kochać. Jego matka dawała temu związkowi pełne przyzwolenie. Szczęśliwa do granic, kiedy powiedzieli jej o nowym członku rodziny, nie odstępowała Suze na krok, starając się pomóc na miarę sił. Gdyby nie to, być może jeszcze by żyła.

Najpierw była rozpacz, ale bezwzględna konsekwencja najeźdźców nie pozwoliła jej rozkwitnąć, więc szybko zastąpiła ją wściekła furia, a potem pragnienie zemsty. Nie do końca zaspokojone, gdyż nie

zabił tego ostatniego, podporządkował się rozkazom i nie zabił, ale czy miało to jakieś znaczenie?

Może faktycznie teraz wyskoczyć i zapomnieć o wszystkim?

Nie mógł. Coś go tu jednak trzymało, niczym te drżące dłonie młodego żołnierza.

- Za chwilę znajdziemy się nad Nowym Amsterdamem. - Głos pilota przedarł się przez ryk silnika. Smart przyjął bezpieczniejszą pozycję, obawiając się kolejnego, silnego ciosu dla swojej psychiki.

Nowy Amsterdam, kiedyś mały obóz badawczy, pierwszy założony na Trzeciej Ziemi, ewoluował w sporych rozmiarów miasto.

Dom. Zawsze wracał do niego z wielką radością, teraz jednak wolałby być daleko stąd.

Gruz. Dym. Spalone, porozrywane ciała walające się wszędzie. Nieliczne ekipy specjalne oddelegowane do ich uprzątnięcia snuły się odrętwiało między zniszczonymi budynkami. Z góry można było odnieść wrażenie, że to sami umarli powstałi i idą teraz w zupełnie przypadkowych kierunkach, nie znając swego pośmiertnego celu.

Zapomniana Kolonia nie widziała nigdy takiej masakry.

Błękit nieba wyraźnie kontrastował z obrazem poniżej. Smart, wpatrzony w linię horyzontu, odczuł niemalże zaskoczenie, gdy niebo zaczęło się uśmiechać.

Firmament przed nimi został powoli rozcięty przez olbrzymie, szeroko uśmiechnięte usta. Następnie pojawiły się kontury całej głowy, z każdą chwilą coraz jaskrawsze, jakby się rozgrzewały. Wreszcie pułkownik skonstatował, że wciąż deformująca się głowa płonie. Dookoła niej, podobnie do sprężystych, rudych loków, wystrzeliły nagle ogniste macki i nie było już wątpliwości, że mają przed sobą łeb krakena, o wielkich, czarnych jak śmierć oczach.

Sekundę później łeb eksplodował, piekielne kończyny sięgnęły poza granice widnokregu, zamieniając się w ścianę brutalnego ognia. Koszmar zbliżał się, a za nim wszystko płonęło. Paszcza rozwarła się z rykiem. Próbowali zawrócić. Uciec. Ale monstrum wchłonęło ich, zamieniając świat w torturę. Ryk żywiołu zagłuszał odgłosy silników oraz ludzkie wrzaski, do momentu aż ból je przytłumił, kiedy mięso zaczęło odchodzić od kości...

3.

Zerwał się z krzykiem. Schował twarz w dłoniach. Przeczesał przepecone włosy. Oddychał szybko. Żaluzje rzucały symetryczne cienie na tle pomarańczowego zachodu słońca, zalewającego sypialnię gęstym blaskiem. Próbował przypomnieć sobie szczegóły snu. Spojrzał w stronę okna i zastygł jak zahipnotyzowany. Na sekundę zrobiło mu się gorąco. W kolejnej ocknął się, po czym odetchnął z ulgą i opadł na poduszkę.

W tym samym momencie rozległa się muzyka. Smart wygiął ciało i rozprostowując kości, pozwolił sobie pozełgować za dźwiękami. Chwila się przedłużała. To był jego ulubiony utwór, Pułkownik relaksował się przy nim.

- Drzwi, alarm - powiedział. Muzyka ucichła. - Kto tam?

- Porucznik Laundi. W bardzo „zdrowym” towarzystwie. - Głos wypełniający pokój był serdeczny. - Jest ze mną pielęgniarka - doprecyzował. - Cieszymy się, że się pan obudził, pułkowniku. Najwyraźniej gorączka spadła. Nawet na tyle, że dał pan radę zablokować drzwi. Przyszliśmy tu

w trosce o stan pańskiego zdrowia. Siostra musi pana obejrzeć. Poza tym, skoro lepiej się pan czuje, mam do przekazania również pewne rozkazy. Czy zechce pan nas wpuścić?

Smart nie przypominał sobie żadnych wizyt lekarskich, nie potrafił także powiedzieć, jakim sposobem znalazł się w swojej sypialni.

- Wizja - powiedział i usiadł ponownie. Ekran po lewej stronie drzwi uaktywnił się i przekazał obraz.

- Otwórz. - Drzwi się rozsunęły. - Światło.

- Wygląda pan o wiele lepiej - rzekł wysoki, niebieskooki blondyn, wchodząc do jasno oświetlonej sypialni.

Pielęgniarka podeszła do łóżka, zapraszając Smarta, aby usiadł na jego skraju. Przybliżyła skaner, wodziła nim po ciele pacjenta, a urządzenie wydawało pikające dźwięki. Laundi stał w milczeniu, przyglądając się badaniu.

- Wygląda na to, że wszystko w normie. Silny z pana mężczyzna. - Smart zauważył, że kobieta jest starsza, niż sądził. Z jej oczu było doświadczenie.

- Wspaniale. - Ucieszył się z diagnozy porucznik. - Czy będzie pan potrzebował pomocy przy ubieraniu i spacerze do siedziby dowództwa sztabu kryzysowego? - Na dźwięk tych słów pułkownikowi zakręciło się w głowie. Nie wszystko było snem. - Generał Drayfuss chciał pana tam widzieć, najszybciej jak to tylko możliwe.

- Ubiorę się sam, ale potem może mi pan towarzyszyć, poruczniku.

- Tak jest. - Laundi spojrzał znacząco na pielęgniarkę, ale ta i tak szykowała się do opuszczenia sypialni, nie patrząc wcale na porucznika, który wyszedł zaraz za nią.

4.

- ... dlatego, uważam, musimy zareagować, coś zrobić, Pierwsza jest w niebezpieczeństwie... - Van Craft przerwał i się odwrócił. Spojrzenia wszystkich pięciu siedzących przy eliptycznym stole mężczyzn zawisły na przybyłym.

Było sześciu. Jeden zginął. Tylko jeden.

- Witamy. - Generał Drayfuss, siedzący u szczytu stołu, naprzeciw Van Crafta, rozproszył ciszę. - Witamy bohatera. - Smart milczał. - Podejść. Usiądź - Drayfuss wskazał krzesło.

Smart zaczerpnął powietrza i ruszył powoli, jak uczeń wezwany do tablicy. Znał tych wszystkich ludzi, mógłby być teraz jednym z nich... gdyby nie poszedł walczyć. Kiedy usiadł, trochę pewniejszy siebie, przyjrzał się uważnie twarzom zebranych. Malowały się na nich wszelkie uczucia zazwyczaj towarzyszące żałobnikom, jednak ginęły one pod warstwą wszechobecnego ulgi. Ciśnienie spadło. Mocno. Takie właśnie miał wrażenie. W niektórych spojrzeniach dało się wyłapać niewyraźne błyski podziwu i fascynacji. Identyczne zaobserwował wcześniej u eskortującego go porucznika.

- Witam również - zaczął. Audytorium zdawało się czekać na jego słowa, niczym na pełne emfazy deklaracje cudownie uzdrowionego nieboszczyka. - Hmm... powiem szczerze. Nie wiem, po co to spotkanie. Dobrze wiecie, że nie zdążyłem jeszcze przygotować raportu.

- Wiemy, wiemy - potwierdził Drayfuss - nie przejmuj się tym. Najważniejsze, że wydobyłeś,

choć, z drugiej strony, raport byłby nieodzowny. Możliwe, że pomogłoby nam ustalić kilka ważnych szczegółów. – Twarde spojrzenie generała kontrastowało z miękkim tonem jego wypowiedzi. Drayfuss był wcieleniem obowiązkowości, więc ciężko było spodziewać się po nim innej reakcji, nawet, a może szczególnie, w tak nietypowej sytuacji.

– Pan generał raczy wybaczyć, ale myślę, że pułkownik Smart ma prawo do większego zmęczenia niż my – wtrącił Stup, szef archeologów.

– Postaram się z tym uporać jak najszybciej. – W tym towarzystwie Sebo nie miał zamiaru użalać się nad sobą.

– Ok. Idźmy dalej. Sebo, zakładam, że chciałbyś, mimo wszystko, posłuchać, o czym tutaj rozmawiamy. Będziesz wiedział, na co zwrócić uwagę w raporcie. Oczywiście, twoja opinia również bardzo nas interesuje. Niech mu ktoś opowie – rzucił generał i obrócił się na krzesło w stronę nieprzeniknionej czerni okna, zakładając ręce za głowę.

Zadania podjął się pułkownik Van Craft.

– A więc, panie pułkowniku...

– Darujmy sobie już ten oficjalny ton, Dirk – przerwał Drayfuss – przynajmniej dzisiaj.

– A więc, Sebo. – Pułkownik Dirk Van Craft przetarł chusteczką spocone czoło, otoczone siwiejącą podkową włosów. – Dyskutujemy na temat strategii, jaką powinniśmy obrać w najbliższym czasie. Jak zapewne się domyślasz, doszło między nami do małej różnicy zdań. Tak więc powiem ci na początek, co powinniśmy zrobić według mnie. – Z ust trzech sztabowców wydobyły się ciche westchnienia. – Brama działa, tak? Wiemy, że można ją aktywować, i wiemy, że oni również mogą.

– Wiemy, że jest to możliwe – przerwał Asmovsky, siwy staruszek o sięgających ramion włosach, z których każdy wydawał się żyć niezależnym życiem. Główny naukowiec spoglądał na wszystkich przez swoje okrągłe okulary. – Znaczy się, nie wiemy, czy nadal, ale pracujemy nad tym.

– Tak czy siak – Van Craft zbył słowa doktora, jakby ten opowiadał o swoim reumatyzmie – ryzyko istnieje, i to kurewsko wielkie. Brama jest otoczona umocnieniami i wycelowano w nią wszelką dostępną nam broń, której produkcji nie wstrzymaliśmy, a ja nalegam, żeby jeszcze ją zwiększyć. Pracujemy nad pozyskaniem technologii od schwytanego obcego. – Tu spojrzał na Asmovsky'ego.

Słowo „obcy” ukuło Smarta jak pinezka w kręgosłup.

– W końcu się uda. – Van Craft pędził dalej ze swoim wywodem. – Nauczymy się robić te wszystkie zabaweczki i kiedy naukowcy rozgryzą, jak otworzyć tę pieprzoną Bramę, rzucimy się tam z naszym nowym arsenałem i zemścimy. Pomożemy naszemu, pomożemy Matce Ziemi.

– To jest, oczywiście, bzdura. – Teraz Stup postanowił powiedzieć pułkownikowi, co powinni zrobić. – I widzę, Sebo, po twojej minie, że też tak uważasz. Nikt nie musi ci chyba mówić, zresztą żadnemu z nas, jakiego te sukinsyny dokonały spustoszenia. Nie mamy pojęcia, ilu ich tam jeszcze jest. Być może Ziemia teraz płonie, tak jak nasze miasta i wszystko wokół. A może już się spaliła? Wątpię w to, żebyśmy dysponowali większym, czy lepszym sprzętem niż ludzie na Pierwszej Ziemi. Albo dali sobie radę, albo nie. My ze swoim potencjałem nic tu nie wniesiemy. Bramę trzeba zniszczyć, zanim atak się powtórzy.

– Od dwustu lat próbujemy ją otworzyć – włączył się do rozmowy Kościelny, dość młody, jak na pełnioną przez siebie funkcję przewodniczącego Instytutu Pamięci o Ziemi. – I dziś wiemy, że jest to

możliwe. Nie możemy jej zniszczyć, nie możemy zniszczyć marzeń o powrocie do domu. To ta myśl była i jest naszym paliwem, sensem, dążeniem. Nie możemy tego zrobić.

- Dokładnie tak - przytaknął Van Craft - to kwestia patriotyzmu.

- To kwestia cholernie wielkiego ryzyka - nie zgodził się Stup. - Nasz pierwotny dom może już nie istnieć. Możliwe, że jesteśmy jedyną ostoją ludzkości we wszechświecie. A to znaczy, że spoczywa na nas odpowiedzialność. Musimy zacząć myśleć. Myśleć o ludzkości właśnie. Jeżeli zadbamy o siebie, zadbamy o przedłużenie bytności człowieka w całym pieprzonym wszechświecie.

Nikt nie odpowiedział od razu. Zdawało się, że Stup zdołał ich przekonać. Jednak milczenie przerwał Van Craft.

- A skąd oni się tam wzięli, na tej Ziemi? Co? Zastanawiałeś się nad tym?

- Druga brama? - odpowiedział pytaniem archeolog.

- Może druga, a może mają inne sposoby. Uderzmy jak najszybciej, póki są osłabieni.

- Tego nie wiemy.

- Nic nie wiemy, ale nie możemy niczego nie robić! - Van Craft niemalże krzyknął.

Znowu cisza.

- Co z Obcym? - przerwał ją Smart.

- Wyzionął ducha - odpowiedział Asmovsky.

- Czy cokolwiek, co ten skurwysyn mógł wyzionąć. Poważnie go poharatałeś. - Mina Van Crafta wyrażała uznanie. - No, ale niczego z niego nie wyciągnęliśmy.

- Powiedz nam, Sebo, co o tym wszystkim sądzisz? - Kościelny po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Smarta. Ten, z kamienną twarzą, zastanowił się przez chwilę i powiedział:

- To rzecz do gruntownego przemyślenia. W chwili obecnej nie jestem w stanie określić swojego stanowiska. Ale ty i Dirk zapominacie o jednym. Wygraliśmy dzięki sprytowi i znajomości Trzeciej. Zaskoczyli nas, ale atut walki na własnym terenie okazał się zbawienny. Potrafiliśmy to wykorzystać. Jednak myślę, że nie dalibyśmy rady nawet połowie sił, z którymi mieliśmy do czynienia, gdyby to oni byli u siebie.

Ostatnie słowa zawisły ciężko nad stołem, wypełniając umysły zebranych frustrującą świadomością. Tak. Niestety. Nie ulegało wątpliwości, że to wróg ma większe pojęcie o Ziemi, o Matce, do której tak usilnie starali się powrócić. O domu, który równie dobrze mógł teraz skwierczeć niczym smolna szczapa w rozbuchanym ognisku.

- Chciałbym odpocząć - przerwał ciszę Smart - tak naprawdę.

- Idź więc - zezwolił Drayfuss po krótkiej chwili - odpocznij.

- Pomyślimy o czymś wyjątkowym dla ciebie - dodał, gdy Sebo był już przy drzwiach. - Jakaś promocja, odznaczenie. Jesteś teraz naszym bohaterem. Kimś, kto w przyszłości może stać się symbolem wolności czy zwycięstwa, jak ci bohaterowie... rodem z ziemskich opowieści.

Sebo chciał rzucić przez ramię jakieś puste podziękowanie, ale skinął tylko głową i wyszedł. Niewiele go to wszystko obchodziło.

5.

Daleko w dole fale akwamarynowych wód morza północnego rozbijały się o kamienne stopy klifu. Na przejrzystym niebie wisiało osamotnione blade słońce.

Był bardzo podekscytowany. Horyzont kusił wyobraźnię, wypełniał ją słodkością tajemnic i możliwości, a jego ojciec, Kraken, który miał niedługo wypłynąć na spotkanie tych wszystkich marzeń, stawał się dla chłopca obiektem coraz większej dziecięcej fascynacji.

- Sebo! - Usłyszał za plecami. - Chodź! Wracamy!

Poderwał się na nogi i pobiegł do czekających rodziców.

Zielone oczy mamy szklily się od łez. Sebo wiedział, że to normalne u kobiet. One takie są, przesadzają. Nie rozumiał tego. Przecież tata wróci, zawsze wracał, a mimo to mama zawsze płakała.

- Tak daleko jeszcze nie płynąłeś - powiedziała. - Długo cię nie będzie.

Sebo przypomniał sobie mapę oceanu, rozłożoną w domu, z zaznaczonymi na niej współrzędnymi, wykraczającymi daleko poza granicę poznanych wód.

- Czemu? - zapytała matka, zupełnie bez sensu. Przecież doskonale wiedziała, czemu. Wszyscy to wiedzieli. On też. Tata wszystko mu wyjaśnił.

- Wysłano nas tu, synku, w jakimś celu - mówił. - Zostaliśmy odcięci, ale nadal mamy obowiązki. Jednym z najważniejszych jest poznanie tej planety. Oswojenie jej, w miarę możliwości. Tak jak kiedyś zrobiliśmy to z Ziemią. I kiedy znów nawiążemy kontakt, nie staniemy przed naszymi braćmi z pustymi rękoma.

- A może Bóg chce, żebyśmy tu zostali? Może to jest teraz nasz dom?

Widował już u ojca tę ironiczną minę, jednak wtedy nie wiedział nawet, czym jest ironia.

- Bóg na pewno chce, żeby człowiek miał cel. Znał sens. Próby powrotu taki sens naszemu istnieniu nadają. I nie tylko, jak już ci powiedziałem.

- Wczoraj na spotkaniu ojciec Alfred mówił, że nie powinniśmy się tym przejmować, bo po śmierci pójdziemy do nieba. Tak jak ludzie na Pierwszej Ziemi i na Drugiej też, że wszyscy idą do tego samego nieba... hmm... mówił, że powinniśmy się cieszyć, że Bóg dał nam tę ziemię, tak jak dał nam Pierwszą.

- Oczywiście, że powinniśmy. Powinniśmy cieszyć się z tego, że żyjemy i że mamy gdzie żyć. To prawda.

Sebo miał ochotę zapytać o coś jeszcze, ale obawiał się, że ojciec poczyta to za słabość. Bardzo by tego nie chciał. W końcu to jedna z rzeczy, które chłopiec w jego wieku powinien wiedzieć, a już na pewno syn Krakena. Przed chwilą, w myślach, skrytykował mamę. Teraz, na własnej skórze, przekonał się, że to wcale nie jest takie proste. Po dłuższym namyśle postanowił spróbować.

- Tato? A co jeśli spotkacie tam krakena? Albo coś innego?

- Spokojnie, synku - łagodny ton ojca momentalnie ukołoił obawy - na razie spotkano tylko dwa. I obydwu udało się nam zabić. Na trzeciego nasze statki są przygotowane. A nawet na wszelkie inne niespodzianki.

Sebo bardzo chciałby zobaczyć kiedyś to zwierzę, od którego wziął nazwę morski klan taty. Potwory nazwano krakenami, ponieważ przypominały wyglądem inne, zamieszkujące niegdyś Pierwszą Ziemię, chociaż niedawno, w szkole, dowiedział się, że to były tylko bajki.

6.

Wszystko to były tylko bajki.

Do tej pory myślał, że jest twardy. Żył w tym przekonaniu i zdawało się, że wszyscy wokół niego też. Przypominał ojca, odziedziczył po nim pewność siebie i zdolności przywódcze, był doskonałym żołnierzem, a także autorytatywnym przełożonym. Wielu widziało w nim przyszłego przywódcę Kolonii. Jednak wydarzenia ostatnich miesięcy to nie było już to samo. Nie to samo, co utrzymywanie dyscypliny wśród podkomendnych. Nie to samo, co walka z bezmózgimi potworami morskimi, czy niepojętymi do tej pory eterycznymi zjawami, żywiącymi się ludzką siłą i energią. Bajki. Wątpliwej wartości historyjki o jakimś lepszym, bezpieczniejszym świecie. Słodkie kłamstwa, będące odskocznią od rzeczywistości.

A rzeczywistość śmierdziała stosem trupów.

Nie wiedział, co ma robić. Nawiedzały go setki chaotycznych myśli. Toczył wewnętrzną walkę: chciał skoczyć przez Bramę w pełnym uzbrojeniu, by wymierzyć desperacką sprawiedliwość; chciał ją wysadzić; pobiec pomagać rannym, wszystkim, którym jego pomoc mogłaby być potrzebna; odjechać, gdzieś daleko, by nigdy nie wrócić; a momentami nawet... chciał zgasnąć.

Szedł tak przed siebie, rozmyślając. Opuścił Nowy Amsterdam wcześniej rano. Prawie cały poranek spędził na szczycie klifu, gdzie wspominał dawne czasy, kiedy jego świat jeszcze istniał. Teraz oddalał się również od niego, podążając w głąb lądu, przez wysokie trawy, ku silnie kuszącym, przewrotnym - jak w głębi duszy zdawał sobie sprawę - objęciom alienacji. Na wprost puszcza czekała na niego z cierpliwością nieosiągalną dla człowieka. Wśród ograniczonego do minimum sprzętu, jaki zabrał ze sobą, znajdował się ciężący na plecach karabinek plazmowy. Problem Zjaw zdawał się już nie istnieć, jednak on wolał być przygotowany.

Trawy i coraz bliższa puszcza pod dyktando ciepłego, letniego wiatru grały kojącą symfonię. Lecz nagle do tej kompozycji wdarł się inny dźwięk - klakson!

Jakieś pół kilometra od niego sunął cicho pełzacz. Wyglądało na to, że Rada nie ma zamiaru pozostawić go samopas. Pojazd zbliżył się na tyle, by Smart mógł rozpoznać kierowcę.

Laundi.

Przygotował już pytające spojrzenie, którym chciał przywitać porucznika, jednak musiał odwrócić wzrok, gdy oślepiło go światło, odbite od płyty baterii słonecznej, zamontowanej z tyłu sześciokołowego pojazdu w kształcie czopu.

- Pułkowniku! Nie boją pana nogi? - krzyknął porucznik.

Smart przybrał srogą minę.

- Jak brzmią te rozkazy? - zapytał, gdy porucznik wydostał się z pojazdu.

- Rozkazy - powtórzył Laundi. - Rozkazy brzmią, a może raczej, mogą zabrzmieć, różnie. Wszystko zależy od tego, jak pan zareaguje na swego rodzaju wprowadzenie, do wygłoszenia którego zostałem zobligowany.

Smart uniósł pytająco brew.

- Może zaproszę pana do pojazdu.

- Czy to konieczne? Chce mnie pan gdzieś zabrać? Na przejażdżkę? Jeżeli tak, to może oznaczać, że z mojej alienacji nici. Jeżeli nie, to proszę się streszczać. Głusza wzywa.

Porucznik zamyślił się na moment.

- Hmm... No to może tak. Co by się stało, gdybym panu powiedział, że Obcy żyje?

- To zależy, jak pan ma zamiar tę myśl rozwinąć. - Mina i ton nie zdradziły pułkownika, choć to pytanie zalało go sztormową falą podejrzeń i wątpliwości.

Porucznik zapraszającym gestem wskazał na pełzac.

Po chwili siedzieli w jadącym pojeździe. Posuwali się na wschód, wzdłuż nieregularnej linii drzew. Pułkownikowi przyszło do głowy, że zbyt szybko zdradził zaciekawienie. Dał się złowić. To, w połączeniu z rewelacjami porucznika, gdzieś wewnątrz, na ułamek sekundy, obudziło w nim agresję. Próbowano go oszukać.

- A więc - odezwał się Laundi - Obcy żyje. Oświadczam.

- Tak jak mówiłem, nie zaskakuje mnie to.

- Chce mnie pan przekonać, że o wszystkim wie. Nie rozumiem, po co tak pogrywać? A gdybym kłamał? Osiągnąłby pan efekt zupełnie przeciwny od zamierzonego. Ech... szanuję pana, chcę, żeby to było jasne, ale w związku z powyższym lekko się rozczarowałem. Liczyłem na większą przenikliwość z pańskiej strony.

- Szanuje mnie pan? - zapytał z niedowierzaniem pułkownik. - Gdybym tego nie usłyszał, nigdy bym na to nie wpadł. Na wiele pan sobie pozwala. Przed chwilą była mowa o jakichś rozkazach, teraz wygląda mi to na zwykły handel plotkami, choć nie wiem, czego oczekuje pan w zamian. Pan lub ten, kto pana przysłał. Jeżeli jednak nie przyjechał pan tu poplotkować, to jest pan zdrajcą, poruczniku. Zdradził pan poufne informacje osobie, najwidoczniej, nieupoważnionej. Mało tego, osobiście wątpię, aby pan należał do grona wtajemniczonych, więc to prowadzi do jeszcze jednego niewygodnego dla pana wniosku.

- „Kto?”, „dlaczego?”, te dwa pytania pobrzmiwały między wierszami pańskiej słownej tyrady. I ta tyrada właśnie jest na nie odpowiedzią. Jest pan inteligentny. Groźny. Chyba nie powie mi pan, że nie wie nic o silnym obozie poparcia dla pana, jaki utworzył się wśród pańskich podkomendnych i nie tylko. Kolonia była i jest nadal niezadowolona z rządów Drayfussa i jego rady. Kiedy opadnie pył, wątpliwości pojawią się znowu, ze zdwojoną siłą. Pan jest jeszcze lepszym kandydatem, niż wcześniej. Jest pan teraz bohaterem.

- Jest pan szpiegiem tajnej opozycji, której ja jestem nieświadomym patronem? - Zdziwił się Smart, niemal prychnąwszy pogardliwie.

- Drayfuss się boi. Wymyślił sobie, że jest pan w kiepskim stanie psychicznym, i tym argumentem

przekonał resztę Rady, aby odsunąć pana...

- Dosyć! - przerwał Smart. - Czego pan chce? Namawia mnie pan do rewolty? Do kandydowania? Ja nie mam ochoty na żadną z tych rzeczy. Przypomnę panu, że przerwał mi pan wyprawę. Samotną wyprawę. Chyba jest jasne, po co człowiek odbywa takie wyprawy. Nie interesują mnie sprawy Kolonii. Chcę odpocząć. Proszę mnie tu zostawić i wytłumaczyć tym wszystkim śmiesznym opozycjonistom, że ich faworyt ma to całe przedsięwzięcie głęboko w dupie!

- To się nie uda, gdyż nie jestem szpiegiem żadnej opozycji. Choć poprę ją, oczywiście jeżeli pan zrozumie pewne kwestie. I mimo że nie chce pan być problemem dla Rady, to już się nim pan stał. Obcy jest oporny, nie mogą z niego nic wydusić, oprócz tego, że chce rozmawiać z panem.

Po plecach pułkownika pociekła strużka potu.

- To pierwszy ich problem - kontynuował Laundi. - Drugim jest to, że rozkazano mi, abym pana pilnował, a ja - uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie - mam zamiar pana nawrócić.

Dotarli do miejsca, gdzie las wyraźnie się przerzedzał, po czym, lawirując między drzewami, wjechali weń pełzaczem.

Pułkownik zrozumiał.

Dzikus.

7.

Przedzierając się przez puszcę - pojazd porzucili i zamaskowali już po paru kilometrach - minęli dwa małe obozy Dzikich - kilka drewnianych szałasów. Główny obóz zasługiwał zaś na miano miasta. Tutejsze drzewa były wysokie jak filary niebios. U ich stóp wyrosły budowle mieszkalne, drewniane, poprzetykane bordowym i zgniłozielonym listowiem, gałęziami, a gdzieś tam materiałami doprowadzonymi z bardziej cywilizowanych rejonów planety. Konstrukcje, niczym pochłaniająca wszystko plaga mchu, pięły się w górę po potężnych konarach, ku labiryntowi kładek i zwodzonych mostów.

- Witam w Betlejem - odezwał się serdecznie porucznik. - Chodźmy.

Z góry przyglądali się im jacyś ludzie, zapewne strażnicy, ale najwidoczniej rozpoznali Laundiego, gdyż nie niepokoili przybyłych.

- A więc to już za chwilę - odezwał się Smart - poznam tego waszego wodza.

- Zwiemy go Chrzczicielem. Już trzeci raz pana poprawiam.

Pułkownik przemilczał tę uwagę.

Co tu robił? Dlaczego dał się zwabić temu dwulicowemu buszmenowi?

Obojętność Smatra ustąpiła ciekawości. Rozglądał się, zapamiętując szczegóły i próbując wyobrazić sobie, czy dałby radę żyć w tych warunkach, czy zamieniłby mundur na spódniczkę z liści i purpurowej trawy.

- To tutaj. - Laundi zamaszystym gestem wskazał budowlę, ułożoną między drzewami. Z kwadratowej dziury, wyciętej w podłodze, sięgała ku ziemi solidna drabina. Stał przy niej uzbrojony w dzidę strażnik. Pułkownik nie był w stanie stwierdzić, czy rampy, widoczne za grubymi

pniami po obu stronach konstrukcji, również do niej prowadzą, ale obecność strażników przy każdej z nich sugerowała, że tak.

- Być może to wbrew etykiecie, ale pozwoli pan, że wejść pierwszy. Będę mógł pana zaanonsować.

- Nie pogniewam się.

W pomieszczeniu panował półmrok. Światło wpadało do środka przez otwartą okiennicę, jedną z sześciu, umieszczonych na dwóch dłuższych ścianach. Stali na środku, w pobliżu wejścia. Naprzeciwko nich, na podłodze, oświetlony padającymi z zewnątrz promieniami, siedział półnagi, zarośnięty człowiek. Za jego plecami, przyklejony do ściany, stał jedyny mebel. Tron, pomyślał z lekką pogardą pułkownik.

- Witaj, Chrzcicielu - odezwał się porucznik. Tamten nawet się nie poruszył. - Przedstawiam ci pułkownika Sebo Smarta z klanu Krakena. Gościa, o którego wizytę tak usilnie zabiegałeś.

Smart milczał. Chrzciciel również.

No tak, nie ma sensu wymagać od dzikusa uprzejmości.

Cisza się przedłużała. Irytacja pułkownika stawała się coraz większa.

Chrzciciel niespodziewanie uniósł prawą rękę. Podrapał się po okalającym głowę, pozlepianym kłębie brudnych, szarych włosów opadających w strąkach do ramion, co, zdaniem pułkownika, mogło oznaczać wszystko. Wódz wstał. Ruszył w ich stronę, gestykulując gwałtownie - Laundi, jakby odczytując polecenie, zaczął otwierać pozostałe okiennice. Szaman minął pułkownika, nie zaszczycając go nawet krótkim spojrzeniem. Smart obrócił się. Nie chciał mieć ich obydwu za plecami. W pomieszczeniu pojaśniało i pułkownik mógł oddechnąć świeżym, leśnym powietrzem, wpadającym do środka przez pozbawione szyb otwory. Na podłodze, w okręgu, leżały poduchy - wypchane trawą worki. Chrzciciel i porucznik rozsiedli się na nich. Przed nimi stał okrągły stolik na krótkich nóżkach.

- Proszę spocząć - Laundi wskazał wolne miejsce.

Smart skorzystał z zaproszenia, wzdychając z niechęcią. Gdy, wykorzystując do cna możliwości workowej poduchy, usadowił się wygodnie, Chrzciciel wreszcie przemówił:

- A więc jesteś - jego głos brzmiał jak sypany na blachę popiół. - Jesteś między nami. Moje serce przepełnia radość tak wielka, że nie jestem w stanie jej wyrazić. - Smart czujnie przyglądał się gospodarzowi i dziwił się, że ten nie śmierdzi tak strasznie, jak wygląda. - Nazywam się Marcus, jestem Chrzcicielem. Wybrany na pasterza osobiście przez mojego poprzednika, którego wybrał jego poprzednik, którego to z kolei wybrał pierwszy Chrzciciel, naznaczony mocą Ducha Świętego.

- Zanim nafaszerowali go ołowiem, zdążył kogoś namaścić? - zapytał złośliwie Smart. - Pech.

- Nie on - zaprzeczył Marcus - nie mamy nic wspólnego...

- Wziął się za interpretowanie biblii - przerwał pułkownik - chciał składać w ofierze pierworodnych, ale był na tyle głupi, że kazał ich porywać z osad kolonialnych. Widzę po waszych minach, że znacie tę historię. Szanowny pan porucznik mówił coś o nawracaniu. Jesteście taką samą bandą czubków, jak tamci dwieście lat temu?

- Proszę się powstrzymać od oceny, przynajmniej dopóki wszystkiego pan nie wysłucha. - Kpiący ton

Sebo Smarta nie zrobił na Laundim najmniejszego wrażenia. – Nic nas nie łączy z tamtymi wydarzeniami. Poza tym Krwawy Prorok był szaleńcem. Nie ma żadnych przesłanek, by wierzyć, iż dokonał tego wszystkiego na polecenie Boga – Smart uniósł lekko brew – w przeciwieństwie do nas, bo tak, jesteśmy sługami bożymi, zresztą dowie się pan wszystkiego, i to jeszcze dzisiaj. Mało tego, uwierz pan, gdyż dowody boskiej obecności wśród nas są nieodparte.

Sebo nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy wstać i odejść. Sytuacja stawała się irracjonalna.

Siedział na drzewie naprzeciwko dwóch wariatów i rozmawiał z nimi o boskich zamierzeniach.

– Źle rozpoczęliśmy tę rozmowę. – Marcus rozproszył myśli pułkownika podwójnym kłaśnięciem. Drzwi za plecami porucznika otworzyły się i do nozdrzy Smarta dotarł zapach gotowanego jedzenia, prowokując bunt w jego żołądku.

Faktycznie, od wczoraj zjadł tylko jeden niewielki posiłek.

Do pomieszczenia weszło dwóch miejscowych. Nieśli wypełnione strawą tace, a buchająca z nich para rozpyłyła się w powietrzu. Chwilę później niski stolik zappełnił wcale niewybredny posiłek, złożony z koziego mięsa w potrawce i jakichś pomarańczowo-brązowych liści, których Smart nigdy dotąd nie spotkał. Uniósł jeden z nich i spojrzał na porucznika pytająco. Ten w odpowiedzi wepchnął do ust swoją porcję i zaczął żuć z uśmiechem.

– Nie bój się, bracie – rzucił Marcus z głośnym mlaśnięciem.

Smart poddał się ostatecznie, czego przestał żałować już po pierwszych paru kęsach. W międzyczasie wniesiono deser: owoce oraz słodką wodę do popicia. Po skończonym posiłku poczuł się senny, ale Marcus – ten dzikus – dał kolejny pokaz gościnności i na stoliku wyrosły trzy drewniane kubki, wypełnione gorącą kawą.

– Mam nadzieję, że najadłeś się do syta, Wybrany – oznajmił z nieskrywaną troską Marcus.

Tak, Sebo się najadł, a jego samopoczucie znacznie się poprawiło. Mógł nawet spokojnie wysłuchać tych dwóch, postanowił bowiem zmienić taktykę i dobrze się bawić. Zignorował na razie swój nowo nabyty tytuł, mając nadzieję, że dzięki temu zabawa będzie lepsza.

– No dobra, najadłem się, napiłem, jestem niezmiernie wdzięczny. Przyznam, że z początku planowałem ulotnić się po obiedzie, ale chyba jestem wam winien wysłuchanie. Zatem słucham.

Marcus z porucznikiem popatrzyli na siebie, jakby się naradzali, który z nich będzie mówił. Padło na Chrzciciela.

– Otóż, jak zapewne zauważyłeś, bracie, Dzicy nie są tak dzicy, jak to się wam, Kolonistom, wydaje. Potrafimy sobie poradzić, rozmnażamy się, edukujemy, rozwijamy, choć w innym zupełnie kierunku, niż wy tam w tej swojej cywilizacji, a nade wszystko mamy coś, o czym wy dawno zapomnieliście lub staracie się to ignorować.

Chrzciciel zawiesił głos, wszyscy milczeli, napięcie rosło...

– Wiare! – spuwentował wreszcie Marcus. – Mamy Boga! – dodał dobitnie po kolejnej efektownej pauzie.

– Wiare – powtórzył Smart, trochę sam do siebie. – I tym chcieliście mi się pochwalić?

- Mówiłem już – przypomniał Laundi – będziemy pana nawracać.

- Ach, tak, zapomniałem.

- Przestaniesz zapominać, bracie, przestaniesz. Dzisiaj dostąpisz objawienia i staniesz się jednym z nas. Uwierzysz. Bóg chce tego, bo wybrał cię na swoje narzędzie. Jesteś wykonawcą boskiej woli, jakich wielu w Piśmie.

Smart mógł jedynie zmarszczyć czoło.

- Nic nie dzieje się bez przyzwolenia Najwyższego – kontynuował Marcus. – To, że jesteśmy na tej planecie, również jest częścią jego planu, inaczej nic takiego nie miałyby miejsca. Czytałeś Pismo, bracie? – Smart pokręcił głową. – Wielka szkoda. Bóg obiecuje w nim raj. Ziemię Obiecana. Zaciągnij się powietrzem, bracie. Rozejrzyj się dookoła. Napij się jeszcze i uszczypnij, bo Bóg dotrzymał obietnicy: to jest nasza Ziemia Obiecana. Nasza obecność tutaj jest częścią jego wielkiego planu, a my w oczywisty sposób mamy obowiązek ten plan wykonać. Musimy trzymać się postanowień Najdoskonalszej Istoty we wszechświecie. Istoty, która jest owym wszechświatem. – Kolejna efektowna pauza i przeciągłe spojrzenie w oczy pułkownika. – Zostałeś wybrany, bracie. – Marcus mówił teraz powoli, jakby się obawiał, że nie zostanie zrozumiany. – Wybrany. Pan poinformował nas o tym poprzez swojego Ducha. Brama musi zostać zniszczona. My musimy pozostać tutaj, aby kontynuować dzieło. Pokuta, jaką na nas zesłano za próby powrotu, nie spełniła swojej roli. Najwidoczniej. Dlatego Pan pozwolił żyć ostatniemu z najeźdźców i powiązał jego los z twoim losem, bracie. Musisz przyprowadzić obcego przed oblicze Pana. To twoje zadanie. Twoje przeznaczenie. I drwina wykrzywiająca twoje usta nic nie znaczy, bo skończyłem już mówić, a resztą zajmie się Duch Święty. – Marcus przeniósł wzrok na porucznika. – Przyprowadź go o odpowiedniej porze.

8.

Jeszcze chwilę temu było jasno. Dzień uciekał przed chłodną nocą niczym przeganiane z sadu ptactwo. Po rozmowie z Chrzcicielem Sebo resztę czasu spędził sam, dając porucznikowi do zrozumienia, że nie ma ochoty na towarzystwo.

Ostatnie słowa Marcusa wyprowadziły go z równowagi; zaciśnięte pięści pułkownika omal nie wylądowały na twarzy Chrzciciela.

Ten dzikus ośmielił się czegoś od niego zażądać. I to czego? Kompletne szaleństwo.

Jednak, gdy trochę ochłonął, zaczął myśleć o Suze, o swojej niespełnionej rodzinie. Niewidzialne pazury niepewności rozdzierały jego duszę na dwoje. Obcy żył. A on powinien to zakończyć. Powinien to zrobić wtedy, w lesie, gdy miał go u swoich stóp. Pieprzyć rozkazy oszustów. Suze by tego chciała. Chyba. Martwiła się o niego, ale przecież on ją zabił. Prawda? Właśnie on. Jeżeli Bóg faktycznie istniał, to istniał również diabeł, który szeptał mu teraz do ucha. Chociaż może to sam Stwórca przekonywał go do swojej woli. Smart roześmiał się, nie bacząc na to, czy ktoś go obserwuje.

Postanowił zostać. Zwykły śmiertelnik nie ma szans w konfrontacji z kaprysami Najwyższego, pomyślał z przekąsem.

Przedzierał się teraz przez puszcę u boku porucznika i Chrzciciela. Szli pierwsi, jako uprzywilejowani, do miejsca, w którym miało się coś wydarzyć. Za nimi podążało całe leśne miasto.

- To już tutaj – odezwał się Laundi. W tym samym momencie Smart dostrzegł niewyraźnie majaczące światła. Chwilę później wyszli na ciemną taflę leśnej polany, długiej i szerokiej jak powierzchnia centrum badawczego w Nowym Amsterdamzie.

Po drugiej stronie polany, gdzie było więcej światła, coś się działo. Mijali po drodze mroczne sylwetki. Nie widział ich wcześniej. Przyglądał się im, wyężając wzrok, i zauważył, że obok każdej stoi jakiś czarny, sięgający pasa kształt.

Z jednego z owych kształtów buchnął nagle ogień.

Kotły.

Po chwili cała polana upstrzona była rzadko rozsianymi, ognistymi piegami. Ktoś coś krzyknął, ktoś gdzieś odpowiedział. Z kotłów wykipiał dym. Owionął pułkownika, gryząc płuca i ściskając gardło. Wszyscy dookoła zaciągali się nim jak niedoszli topielcy upagnionym powietrzem.

- Co się dzieje, do ciężkiej cholery? - wykaszał do porucznika. Ten tylko mrugnął do niego z uśmiechem, po czym ujął pod rękę i gestem zwrócił uwagę na scenę rozgrywającą się przed nimi. Stał tam Marcus z uniesionymi ku niebu rękoma.

- Bracia! Siostry! Dzieci Boże! - wykrzykiwał. - Jesteśmy tu znowu, aby poczuć bliskość naszego Ojca! Bliskość Stworzyciela!...

Pułkownik poczuł rozluźnienie, dym już mu nie przeszkadzał. Skupił uwagę na mówcy, na jego lizanej światłem płomieni ciemnej sylwetce. Marcus wciąż perorował. Z każdym kolejnym słowem jego głos brzmiał coraz bardziej ekstatycznie. Kątem oka Smart wyłapał jakiś ruch, kilkanaście metrów za plecami Chrzyciela. Na czymś w rodzaju kamiennego bloku. Wyężał wzrok. Wijące się kształty.

- ...Jego osoba i Jego moc sprawcza...

Ludzie. To byli miotający się ludzie. Próbowali uwolnić się z pęt. Wraz ze zrozumieniem tego faktu do jego świadomości napłynęła jeszcze jedna informacja: ogień rozjarzył się mocniej. Był piękny.

- ...a my, sprawcy Jego woli!...

Jak na sygnał, zewsząd rozległ się miarowy dźwięk bębnów.

- ...stoimy tutaj, Panie...

Wybijany rytm przejmował powoli kontrolę nad ciałem Sebo.

- ...by ofiarować Ci...

Pochodnie, jedna po drugiej, niczym świece na urodzinowym torcie Boga, zgasły.

- ...te oto dusze!

Zapadła martwa cisza.

Pułkownik odczuł pustkę. Chciał więcej.

Więcej!

Więcej czego?

Nad ledwo widoczną linią oddzielającą ciemne niebo od jeszcze ciemniejszej kurtyny lasu pojawiła się świetlista luna. Zaraz potem rozległy się wyraźne trzaski jakby ktoś łamał gałęzie. Znów rozbrzmiały bębny, tym razem szybciej. Przez kolumny drzew przedzierało się jasne światło. Zbliżało

się, nawoływane coraz szybciej wybijanym rytmem. Wtem na polanę zawitał najjaśniejszy w życiu Smarta dzień. Rytm bębnow galopował. Olbrzymia kula światła jakby przysiadła na kamiennym ołtarzu. W bębny uderzał teraz sam szatan. Ciało pułkownika wyginało się spazmatycznie. Światło poiło oczy. Dźwięk karmił uszy. W tym wszystkim: wrzaski cierpiących, śpiewy, zawodzenia zebranych; trzaski, wyładowania elektryczne, kuszące i wyzwajające nowe żądze.

Ekstaza.

Objawienie.

9.

Irytujący dźwięk niczym woda rozpiekał pękającą powoli tamę nieświadomości. Zaropiałe rany powiek rozkleiły się ospale, ukazując przekrwione białka. Jakies trzy metry przed nim świat rozmazywał się jak tłuszcz na szybie. Zimno metalowej podłogi dźgało lodowymi igłami obolałe ciało. Podjął tytaniczną próbę zmiany pozycji, zakończoną połowicznym sukcesem, i dopiero w tej jakiejś bardziej psiej pozie zlokalizował ognisko bólu. Klęknął ociężale i odkleił od ciała przeпоconą koszulę. Sięgnął do rany na lewym barku. Rozciął sobie palec o coś, co z niej wystawało. Wyciągnął to. Prawie zemdlał. To coś wyglądało jak ułamana część igły od bardzo dużej strzykawki. Na czworakach doczłapał do drzwi. Z trudem stanął na nogach, podpierając się o ścianę wyszedł z pomieszczenia. Wszechobecny dźwięk orał głowę. Rzeczywistość z hipnotyczną regularnością tonęła w morzu krwawych świateł alarmowych. Potknął się o coś. Skupił wzrok na skrytej w cieniu podłodze. Ciała: martwe, umundurowane. Niejasna wizja przeszłości próbowała rozkwitnąć w jego głowie, lecz utonęła, zalana falą bólu. Zwolnił jeszcze bardziej, skrywając głowę w dłoniach. Nagle stracił oparcie i runął na kolana. Gdzieś tam, chyba przez okno, zaglądał do ciemnego pomieszczenia dzień. Gdzieś tam mrugały światełka na konsolach operacyjnych...

- Generale! - wykrzyczał ktoś spoza granicy rozmytego obrazu.

10.

Nóż sterczał z głowy trupa, pod którym wolno rosła kałuża krwi. Na piersi Smarta szklila się poprzeczna rana, zadana tym samym nożem.

Ktoś przysłał zabójcę. Ale kto? Czy faktycznie Drayfuss tak bardzo się go obawiał, a właściwie tej intrygi przygotowanej przez Dzikich? Czy może Dzicy chcieli umocnić jego wiarę w to, co widział? Nie mógł się zdecydować, czy w ten sposób obrażają jego inteligencję, czy swoją. Naprawdę myśleli, że go przekonali? Cały czas próbował wyjaśnić sobie, co takiego widział dwie noce temu w lesie. Był odurzony, i to mocno. Czy to były narkotyczne zwiidy, czy faktycznie widział największą zjawę, o jakiej Trzecia mogła kiedykolwiek słyszeć?

Duch Święty, dobre sobie. Najbardziej przerażające było to, że ci leśni idioci głęboko w to wierzyli.

Nie wiedział, co robić. Nie miał do kogo się zwrócić. Ten niby obiecany świat, na którym się urodził i który znał, który w głębi serca kochał, któremu służył, zamknął się przed nim. Jedynym wyjściem była ucieczka, równoznaczna z samotnością. Został zaszczyty w jedynym środowisku, jakie znał. Czuł się... obcy.

Muzyka - ktoś stał pod drzwiami. Monitor na ścianie ukazał uśmiechnięte oblicze porucznika Laundiego. Smart kazał mu czekać. Założył koszulę. Mlasnęło cicho, gdy wyciągał nóż, który następnie wyczyścił i ukrył z tyłu za paskiem spodni.

- Otwórz.

- Mój Boże! - Laundi przejął się, chyba autentycznie. - Drayfuss.

- Skąd mam wiedzieć? Może wy?

Porucznik zrobił zawiedzioną minę

- A pan ciągle nieufny. To się pewnie zmieni dziś wieczorem, kiedy już pan zostanie naszym przywódcą. Nie sposób nie docenić takiego prezentu. Proszę zatem włożyć mundur, wszystko jest już gotowe.

- I co? Tak gładko nam pójdzie?

- Gładko, nie gładko, jakoś pójdzie. Nie rozumiem, czym się pan martwi, przecież nie kiwnął pan nawet palcem, a ugra na tym najwięcej. Będzie pan rządził.

- Ja będę rządził. - Smart sam nie wiedział, czy zapytał, czy stwierdził. - Założę się, że wśród mojej przyszłej świty czeka jakiś wasz kret, albo może powinienem użyć liczby mnogiej, żeby posłać mi kulkę, jeśli tylko zrobię coś nie po waszej myśli.

- Naszej? Wydawało mi się, że został pan uświadomiony. Proszę po prostu jak najlepiej odegrać swoją rolę, a gdy będzie już taka możliwość, wydać nam Obcego. Kiedy Duch Święty się nasyci, Bóg pośle go do centrum Nowego Amsterdamu, aby zniszczył bramę. W ten sposób na zawsze zniknie pokusa powrotu.

Jeżeli to świecące gówno dostanie się do miasta, zniknie o wiele więcej, pomyślał pułkownik, ale zachował to dla siebie.

Czuł wściekłość, dezorientację i jednocześnie osamotnienie. Niebezpieczna mieszanka. Drayfuss oszukał go i prawdopodobnie chciał zabić. Dzicy mieli swoich agentów wśród żołnierzy, którzy chcieli dokonać puczu z pułkownikiem Sebo Smartem na czele. Bliscy odeszli. Nie było z kim porozmawiać. Nagle okazało się, że nawet taki twardziel jak on tego potrzebował, czemu przez większość dorosłego życia zaprzeczał. Gdy Suze chciała, by z nią rozmawiał, on od razu wznosił dokoła siebie mur. Teraz nie było nikogo, kto chciałby go wysłuchać. Oprócz...

- Gdzie, tak w ogóle, trzymają Obcego? - zapytał obojętnie, sięgając po mundur.

11.

Najwyższy budynek w Nowym Amsterdamzie ciągle się rozrastał. Z pokolenia na pokolenie robotnicy dolewali hektolitry swojej własnej krwi do tego bezdenne wiadra. Budowla ta była sercem niszczącego miasta, ostoją jej rezydenta. W jej trzewiach, w mroku pomieszczenia, mrugały do niego jasne ślepie monitorów, bezceremonialnie zdradzając wszystkie wyłapane sekrety mieszkańców Zapomnianej Kolonii.

12.

- Gdzie...? - wyschnięte gardło i wyczerpanie nie pozwoliły mu dokończyć pytania.

- Będzie pan tu bezpieczny - odezwał się... Smith?, tak, chyba to był Smith. - Sprowadzę pomoc. Lekarza.

Zatrzymał go namiastką gestu.

- Nikt nie może... musisz...

- Spokojnie, generale, można mi zaufać.

13.

Najwyższy budynek w Nowym Amsterdamzie nie był zbyt wysoki, jeśli przyłożyć doń miarę nawet nie tyle drapaczy chmur, co chociażby typowego dla Pierwszej Ziemi osiedla mieszkalnego. Mimo to generał Drayfuss zwykł przystawać przed szerokim ekranem okna. Rozmyślając, przyglądał się wtedy swojemu niskiemu, rozłożonemu jak zastawa stołowa miastu. Generał Sebo Smart zupełnie bezwiednie imitował codzienne poczynania swojego poprzednika.

Drayfuss był zaskoczony. Zszokowany rozmiarem buntu. Smart wiedział, że bardziej chodziło tu o sławę i glorię, jakie go otaczały, niż o faktyczną niechęć do Drayfussa. Były generał z rodziną i najwierniejszymi współpracownikami zostali zamknięci w odosobnieniu. O tym, co z nimi zrobić, pomyśli później, chociaż błysk w oku porucznika świadczył, że tamten chciałby mu pomóc w podjęciu stosownej decyzji.

Nie polała się nawet najmniejsza kropla krwi. Nikt nie chciał zabijać, szczególnie po ostatnich wydarzeniach.

Pod oknem żołnierze i porwani falą wydarzeń zwykli ludzie skandowali jego imię. Za plecami ciszę gabinetu zmaćił syk rozsuwających się drzwi.

- Udało się! - radośnie zakomunikował Laundi. - A jak pan się czuje? Może mały odpoczynek?

Smart go zignorował.

- No dobra - podjął po krótkiej chwili porucznik - dziś w nocy moi ludzie zajmą się transportem Obcego do obozu. To będzie prawdziwie święty dzień - dodał rozmarzony.

- Jutro.

- Słucham? - Stanowczy ton Smarta zbił porucznika z tropu.

- Zabierzecie go jutro - doprecyzował Smart. - Odmaszerować!

Laundi wykonał rozkaz niemal machinalnie, choć minę miał zdziwioną.

14.

- *Panie - wyszeptał ten pokurczony pomiot, który od jakiegoś czasu zajmował się wszystkim wokół jego osoby - ekspedycja numer siedem właśnie powróciła do miasta.*

Odburknął tylko, co musiało służyćemu w zupełności wystarczyć. Wszyscy wiedzieli, czego ich pan oczekuje, gdyż pan nie miał zamiaru tłumaczyć się pomiotowi. Niektórych zdążył już tego nauczyć... metodą prób i błędów.

Stanęli przed nim zdjęci strachem. Śmierdziało nim od nich na odległość. Podobnie do małych szczeniaków, czekających w nadziei, że ominie ich nieuzasadnione lanie, wlepiali w niego swoje ludzkie, kolorowe ślepie.

- *Panie - głos tego stojącego w środku drżał - wróciliśmy z północnych lądów. Nie znaleźliśmy niczego interesującego - urwał, gdy trupiooblada twarz zbliżyła na odległość oddechu. Cała czwórka niemal równocześnie przełknęła ślinę, co poniosło się echem po pokoju.*

- Wnioski - zażądał piskliwie, odwróciwszy się plecami.

Ten w środku zaczął się jękać i pocić.

- Ta planeta nie skrywa żadnych tajemnic. Jesteśmy kolejną ekspedycją, która nie znalazła absolutnie niczego. Nic tu się przed nami nie działo. Trzeba się z tym pogodzić.

Wezbrała w nim złość. Opuścił głowę. Służący wyprowadził poszukiwaczy.

Jutro urządzi przedstawienie dla całego miasta z ich udziałem w roli głównej, aby wszyscy wiedzieli, że nie wolno sprawiać zawodu swojemu panu.

15.

Chyba zdechł, pomyślał Smart, stojąc naprzeciwko Obcego, który wpatrywał się przed siebie czarnymi oczami bez powiek; jego głowa była unieruchomiona, podobnie jak reszta ciała, ukrzyżowanego na metalowej ramie.

- Jesteś - dziecięcy falset Obcego przerwał długą ciszę. - Wzywałem cię. Mówiłem, że chce cię widzieć.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Znowu cisza.

- Dowiedziałem się, że żyjesz, więc przyszedłem zobaczyć cię przed egzekucją - skłamał Smart.

Oblicze przybysza nie potrafiło wyrażać emocji, lecz dało się wyczuć zmianę nastroju. W powietrzu zawisł niepokój.

- Nie możecie. Robaki. Nie możecie przerwać doskonałości.

- Doskonałości - powtórzył głucho nowo upieczony generał. Przyłożył Obcemu pistolet do głowy. - I co ty na to? - Palec drgnął na spuście.

- Dlaczego zabiłeś swoich? - Oczy Obcego poruszyły się, wskazując w stronę otwartych drzwi, za którymi leżało bezwładne ciało, a głębiej w korytarzu jeszcze trzy. - To ty strzelałeś.

Smart zabrał broń. Obrócił się, wyglądając teraz przez szybę na pracownię, z której naukowcy zwykli obserwować swoje eksponaty.

- Życie się trochę pokomplikowało od waszego przybycia - odpowiedział. - Nęka mnie kilka pytań, więc przyszedłem cię zabić, z nadzieją, że oczyści to trochę mój umysł - skłamał ponownie.

- Już ci mówiłem, że nie możesz. Jesteś niedoskonały. To dyshonor.

- Co ty pieprzysz? Rozwalę ci łeb, bo nie mam wyboru! Nie będzie ci potem potrzebny żaden honor!

- Nie masz wyboru - powtórzył Obcy - jest nas dwóch.

Smart zamarł. To była prawda. Bolesny paradoks.

- I zdaje się, że we dwóch umrzemy - odpowiedział powoli. - Ty musisz zginąć, z mojej ręki, teraz. Ja mogę po tobie również długo nie żyć.

- Co chcą zrobić ci, którym chcesz mnie odebrać?
- Chcą sami się zniszczyć, po drodze niszcząc całą resztę. Z tej sytuacji nie ma racjonalnego wyjścia. Każde rozwiązanie kryje za plecami śmierć.
- Najgorsza śmierć to twoja własna. Wybierz rozwiązanie, w którym jej nie ma. Uwolnij mnie, a pomogę ci zabić twoich wrogów.

Smart parsknął śmiechem.

- I co potem? Sprowadzisz tu resztę swoich kosmicznych znajomych. Wybijecie do nogi wszystko, co tylko da się wybić?
- Nie potrafię otworzyć stąd bramy. Nie chcę się zakończyć. Uwolnij mnie. Otrzymasz moją wdzięczność - odpowiedział Obcy i po krótkiej chwili dodał - ...bracie.
- Co? - oburzył się Smart - jaki znowu bracie? Ty pokrako!
- Jestem wieczny. Doskonały. Moje komórki odradzają się bez przerwy. Tak jak powinno być. Nie tak, jak jest u ciebie. Słuchaj. Opowiem o Ziemi.

Smart chciał mu przerwać, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Skapitulował przed ciekawością.

- Ludzie żyli na Ziemi przez miliony lat - zaczął Obcy. - Rodzili się. Umierali. Rodzili się. Umierali. Wyobrażali sobie bogów. Nieśmiertelnych. Bogowie obiecywali nieśmiertelność ludziom. Człowiek pragnął tego od zarania. Bał się przemijania. Bał się końca. Żalosne. Niedoskonałe myśli niedoskonałych miernot.
- I wyrznięliście ich tam z tego właśnie powodu! - rzucił oskarżenie Smart.

Obcy milczał, lecz generał miał wrażenie, że się z niego naśmiewa.

- Doskonałość zasiana jest w środku - odpowiedział wreszcie. - Ci, którzy się nie zdecydowali, musieli służyć. Lub umrzeć.
- Zdecydować? - Smart nie rozumiał.
- Na przyjęcie doskonałości. Największej żądzy. Największego wynalazku ludzkości.

Kiedyś zastanawiał się nad tym, co musi się wydarzyć w życiu człowieka, aby ten postradał rozum. To z pewnością była jedna z takich chwil.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś...

16.

Wbite na drewniane pale głowy obserwowały wystraszonych i zrezygnowanych ludzi, ostrzegając przed pokusami własnej woli. Spoglądał na nie ze swojego okna z poczuciem czegoś, co przywykł nazywać dumą. W swojej „królewskiej komnacie”, otoczony monitorami, napawał się obrazami podglądanych mieszkańców, niedoskonałego nawozu, który również traktował jak swoją zdobycz. Wyżej, ponad monitorami, na stalowej półce kurzyły się te najważniejsze trofea: rdzewiejący hełm krakena, a obok, w dużym, przezroczystym słoju z formaliną, trupioblada głowa, ozdobiona ukośną szramą, ciągnącą się od oczodołu aż po miejsce, gdzie powinien być nos.

17.

- Uwolnij mnie. Bracie. Obiecuję ci życie wieczne.